

Leszek Zieliński

Doczekanie



Leszek Zieliński

Doczekanie

ARTEX PUBLISHING

Tegoż autora:

“Ogień i lęk”- A. Poray Book Publishing, New York, 1981
(Debiut literacki, tom wyróżniony nagrodą Towarzystwa
Krzewienia Nadziei, Chicago, 1981).

“Dzień zraniony - A. Poray Book Publishing, New York 1982.
Nagroda Literacka Związku Pisarzy Polskich na Uchodź-
stwie, Londyn, 1982

“Thunder”- A. Poray Book Publishing, New York, 1983.

“Spalona rzeka” - Serpent Publishing, Chicago, IL, 1984

“Drugie niebo” - Artex Publishing, Clearwater, FL, 2005

Copyright © 2009 Leszek Zielinski

ISBN: 1-57745-103-1

pożądanie

między twoim świtem a moją nocą
jest plejada wspólnych marzeń
jest szaleństwo wyznań i szaleństwo zmysłów
tu igrają ze sobą wyśnione pieśzcoty
i zrywają się do lotu niepewne pragnienia
tu ręce się płaczą jak senne bajki
i ciała wtapiają w uniesienie
a przed każdym westchnieniem
słodka cisza i uśmiech utkany z nadziei
tu szczęście zbiera rozsypane perły niedoczekania i snów
gdy na piersi zasypiają spełnione pocałunki
dłonie muskają łagodność szyi
i odgadują natychmiast pragnienie
pełzają wśród cieni spragnione nowych odkryć
i nowych tajemnic aż znajdują ukryte w tobie ciepło
oddają nasze wspólne nienasycenie
i toniemy w czasie prawdy i przypuszczeń
gdy między twoim świtem a moją nocą
spełnia się pierwsze pożądanie

jestem

mówiła do niego muzyką i wiatrem
szeptała mu o niebie i o jesieni
płakała w oddaniu
umierając jak szczęście
i kochając jak miłość
i mówiła
bądź tu
już bądź

zbierała go
z zapachem opadających liści
i deszczu
a gdy zamykała oczy
brała go w siebie mówiąc
bądź tu już bądź
chociaż na zawsze...

aż któregoś dnia
Bóg się zlitował
i na jej twarzy wypisał wiersz
wtedy stanął przed nią jej sen
i powiedział
jestem
jestem wreszcie na zawsze...

niebo

gdybym nigdy nie dożył tej chwili
wysnionej w moich wszystkich marzeniach
gdybym nie oddychał już żadnym powietrzem
i nie szukał nigdzie drogowskazów
gdybym nie otworzył nigdy oczu
na następny świt i następny dzień
i nie doszedł gdzie idę i dokąd zmierzam
i nigdy nie usłyszał muzyki oceanu
gdybym nie pokochał ostatniej miłości
nie zatrzymał serca i nie żądał więcej
gdybym nigdy nie poznał
jak smakuje pierwsze „witaj”
i ostatnie „żegnaj”
i gdybym tysiąc razy umarł
aby tysiąc razy zmartwychwstać
to nie oddałbym za żadne skarby
tej garstki moich wierszy
w których zakopałem miłość
gdybym nigdy się nie zbudził ze snu
w który się wtapiam
i gdybym klucz do siebie wyrzucił
odchodząc w wieczną ciemność
to byłbym równie szczęśliwy
jak ptak któremu otwarto niebo

jeden dzień

a może nie trzeba więcej
ponad jeden szept
a może nie trzeba więcej
ponad jeden dzień
a może nie trzeba więcej
ponad jeden sen
by przetrwać i kochać
może nie trzeba marzeń
i nie trzeba złudzeń
aby żyć
dla ciebie
o jeden dzień więcej

niedoczekanie

na powrót jak na zbawienie
można było jedynie spoglądać z daleka
nikt nie słuchał wiatru
ani śnieżnych porywów
zegar zatrzymał się przed czasem
i nie chciał iść dalej
coraz mocniej tętniła nadzieja
lub zwątpienie
i można się było zagubić
w tej niewiadomej
oraz skonać na niedoczekanie
spadające anioły
nie docierały do nas rozbitków
wczorajszego dnia
którym odebrano tyle prawdy

z kaprysu w kaprys
zamieniali nam życie
rozpękały złudzenia jak mydlane bańki
i wszystko zatracalo sens
na dzień jutrzejszy
aż w dali zadźwięczały dzwoneczki sań
i można było rozsuwać zasłony
i wchodzić w słońce

pomarańcza

położył na stole pomarańczę
dojrzałą soczystą nabrzmiąłą
i jednym pociągnięciem noża
przekroił na pół
rozchylając delikatnie owoc
z którego zaczął się sączyć sok
przybliżył obie połówki do spragnionych ust
zatapiając się w eliksir
upojenia i ukojenia
pociągnął językiem z lewa na prawo
i w dół i wpił się w nektar
sok spływał po palcach
do dłoni więc zlizął szybko
jeszcze bardziej wzmagając pragnienie
wtapiania się w miąższ
zębami lekko zahaczył o skórkę
pomarańcza jakby westchnęła
przybliżył ją znów do ust
i jeszcze raz zatopił się w niej
aż sok oblał mu twarz
i spływał po brodzie
uśmiechnął się teraz na myśl
że to dopiero początek
że już będzie mógł każdego dnia
sięgać po pomarańczę

bez ciebie

pytałem -
co ja z tobą zrobię
gdy świat się rozszalał
i roztańczyło niebo
gdy odległość nikła
z każdym uśmiechem
i czas nie istniał

co ja z tobą zrobię
gdy będziesz już w dłoniach
rozkochana rozpieszczona
taką chyba cię zatrzymam

ale
co ja zrobię bez ciebie
w tej ciszy grobowej
w milczącym oceanie

co ja zrobię bez ciebie
gdy mi umrze serce
i skona oczekiwanie
bez ciebie bez tchu
bez sensu

więc chyba się zerwę
w pochmurne niebo
przeskoczę odległość i czas
i znów cię pokocham i upieszczę
jak kwiat darowany we śnie

martwa poezja

powiedziała mi
nie pisz już żadnych wierszy
twoja poezja to trup
przestałeś już być przeszłością
umarłeś po tysiąc razy
z tego chleba nie kupisz
i miała rację
tylko dlaczego razem
z moimi wierszami
chciała mi zdusić pragnienie
tylko dlaczego
gasząc mi każdy jutrzejszy dzień
zamykała wszystkie dzisiejsze sny

jeszcze raz

jeszcze raz tak powiesz
o północy
że przerywasz ciszę
i kładziesz powieki
na moich ustach
jak dotyk zachodu

jeszcze raz tak pocałujesz
we wszystkie miejsca świata
i płatkami palców
powiedziesz na pokuszenie

jeszcze raz mi szepniesz owo „tak”
rozkochane
i wargami rozsypiesz
resztę pieśczoł na ciele

jeszcze mnie pokochasz
czy na zawsze nie wiem
ale gdy mi oddasz jeszcze serce swoje
- to już nie odejdę

Gulf of Mexico

pod gołym niebem utkanym z gwiazd
rozłożyli swoje nadzieje
kochankowie spóźnionego wieku
nie bacząc na konwenans na czas
targali źdźbła trawy łakomie licząc sekundy

„chcę cię kochać pod nagim niebem”
- powiedziała kładąc usta na rozwartej dłoni
- „Już za kilka dni zdejmę ci
przepaskę z oczu i ujrzysz
po raz pierwszy zapach najpiękniejszej konwalii...”

znad oceanu powiewał chłodny dotyk wiatru
obejmował ich w pół i zamykał na noc
„chcę cię kochać wieczorem na wystygłej plaży”
- powiedziała otwierając mokry pocałunek
- abyś rozgrzał piasek na następnym dniu i na wieczność”

fale chichotały między sobą
podchodziły do stóp
i łaskotały podeszwy
gdzieś w dali kołysały się palmy
starszy pan lepił wnuczkowi zamki z piasku
i spoglądał z ukosa mruczając coś pod nosem
na pożegnanie plusnęły delfiny
powoli tonęło słońce w Zatoce
rażąc jeszcze oczy umierającym ogniem
Gulf of Mexico zamierała i stygła
dzień dochodził krańca
tylko pomiędzy słowami kochanków
można było doczytać się rachunku wszystkich pieszczoł

pustka wszystkich słów

zanim zapadnie zmrok
nad moimi myślami
trzeba będzie się zwierzyć
z reszty pytań nie stawianych dotychczas
i ogarnąć spojrzeniem horyzont
za którym kryje się jutro
musisz powiedzieć
w którą stronę chcesz
by wiatr powiał nasze żagle
i zrozumieć że morze przed nami sztormowe
niejeden przejdziemy huragan
nim świt nas ocali przed zgonem

za dwie godziny będę żegnał twoje łzy
zmieszane z tęsknotą i bólem
zostwię ci oba skrzydła
byś mogła poszybować w chmury
i dotrzeć do lądu wielkiej nadziei

teraz stajemy nad oceanem
z którego wybrać przyjdzie
tylko dobre słowa i ocalić wszystko
co wpisaliśmy we wspomnienia

gdy rozpułynie się linia horyzontu
pozostanie pustka wszystkich słów
aż do powrotu rąk do powrotu ust

drugie skrzydło anioła

z nieba spłynie do ciebie
drugie skrzydło anioła
stopi cię w ukojenie
w podmuch wiatru nad lasem
znów ogarnie twą duszę
zapanuje nad ciałem
splotem ramion pragnieniem

twoich marzeń tysiące
razem w chmury poniesie
szepcem może rozbudzi
wszystkie noce ściszone
by do słońca do jutra
stalowymi skrzydłami
porwać w drogę do raj

nazbieramy w swe dłonie
garście słodkich motyli
i ruszymy ku chmurom
pieścić nową komunię
oba skrzydła stopione
w lot wyruszą ostatni
ziemia zniknie daleko
gdy wejdziemy do nieba

odpowiedź

pytasz
czy będę dalej pisał wiersze
gdy już skończy się ostatni dzień
i gdy doczekasz wszystkich słów
kiedy usta dotkną ust
i przestanie nas dzielić czas

pytasz
czy będę dalej tęsknił do snów
do pierwszego słowa po tylu słowach
i czy będę liczył sekundy milczenia
gdy wszystko zostanie dopowiedziane
i wygasną znaki zapytania

pytasz
czy będę dalej tak kochał
kiedy będziemy już pełni ukochania
i czy będę wciąż na nowo odkrywał
noce i dni bez ciebie i z tobą
gdy spełnimy już z sobą wszystkie oddania

odpowiem
tak kochanie
będę szeptał
wszystkie szepty ptaków
i rozjaśniał każdą noc z osobna
już nie będzie miejsca na tęsknoty
ani smutku nie dojrzysz na twarzy
będę pisał coraz śmielsze nadzieje
i otulał cię do snu
pieszczotą będę kochał
każde twoje spojrzenie
i uwielbiał twą radość szaloną
nawet wtedy gdy mnie już nie będzie

modlitwa poranna

zaczyna wierzyć
że oto po raz pierwszy ma w dłoni
szaloną orchideę
już wszystkie postacie dnia
mają zapach jego włosów
a każdy zakątek myśli
uzbierał naręcze jego uśmiechów
więc idzie w całą niepewność
ostatnim westchnieniem miłości
aby nie odwracać więcej twarzy
na zacinający ostro deszcz
i nie mieszać z nim swych łez
intensywniej w niej modlitwa
żeby już nie było odjazdów
i żeby nie było powrotów
i by Bóg zamieszkał z nimi
tu na ziemi lub tam w niebie

drugie życie

spokojnie już patrzę w ręce
złożone w cichej pieszczocie
palce rozprostowują znaki zapytania
w coraz prostsze słowa
siedzę z północnym niebem
wsluchany w szelest jutra
i wiem kiedy ubiorę drogę
w nowe drogowskazy
spokojniej przechodzę
przez ulicę drugiego życia
i drugiej nadziei
nie bacząc na przeszłe błędy
serce już nie bije
rytmem niepewności
i nie miotam się w zwątpieniach
wychodzę na prostą
wprost w otwarte oczy księżycy
i już się nie boję

kanon d-moll Pachelbela

cicho drzemie
kanon d-moll Pachelbela
przemykając od cienia do cienia
za oknem bieli się sad sosen
śniegu nie pokonał jeszcze
żaden odcisk ludzkiej stopy
a tu skrzypce łagodnie uwodzą
wpijając się pomiędzy palce
i dotykają nieśmiało warg
w kominku trzeszczy ogień
błyskając żartobliwie iskrami
ciepło oplata rozwinięte kwiaty
rozchylonych pieśczoł i oddechów
o których śniło się kiedyś poetom
noc okryła tatrzańskie chałupy
ciemnym grudniowym kocem
a pod powiekami roześmianych oczu
kryją się wszystkie kolory pożądania
wiolonczela smętnie szumi
koniak grzeje się w dłoniach
i roznamiętnia szum ciszy
coraz mocniej zaciska się życie
zawieszane na słowach i szeptach
gdy nadejdzie sen
i zgasi resztę szaleństw
pozostanie wśród cieni i złudzeń
jeszcze cisza uśpiona kanonem d-moll

do nieba

gdy ci zostało
jeszcze tylko uwierzyć w cud
i znaki na niebie
i wczesać we włosy nadzieję
nie wahaj się
modlitwą góry poruszysz
jesień miłością ogrzejesz
i zostaniesz aniołem
ze strzaskanym skrzydłem
które pochwyć nim uderzy o skałę
i zatrzymam dla siebie
jak skarb darowany przez Boga

milion

nie pytaj ile znaczę
nie ma wymiaru to istnienie
jak głęboko sięgam
ile daję szczęścia
a ile cierpienia
i czy każda pieszczota
ma posmak rozkoszy
czy też może kryje się w niej odcień bólu

nie pytaj ile kocham
bo sięgam głębiej niż najskrytsza myśl
i kocham więcej niż żagiel kocha wiatr
żyję dłużej niż spisany wiersz
i gama mówionych i niemówionych słów

nie pytaj ile wyznań trzeba
by wygrać ciepło lata ukrytego w dłoniach
bo pomiędzy mozaiką moich uśmiechów
a twoim jasnovidzeniem jest lza
nie wiemy ile potrzeba skrzydeł aniołom
by mogły ulecieć do raju
z tym strapionym życiem
i czy trzeba dwóch serc czy też starczy jedno
aby skrzydłom tym wybijać rytm do lotu

nie pytaj ile trzeba uśmiechów
by wyrazić rozkosz wiosny lub smutek jesieni
ile wiary można zamknąć w jeden pocałunek
a ile nadziei w pocałunków milionie i czy milion
to dużo gdy mówisz że twoją liczbą jest...
więcej

oddanie

gdybym miała roznieść w puch góry
i dłonie pokaleczyć do krwi
to pokonam każdą skałę z osobna
by do ciebie dotrzeć
i zanurzyć się w twoje włosy
gdybym miała bieg rzekom odwrócić
i utopić się po tysiąckroć
aby tylko stóp twoich dotknąć
to pokonam je kropla po kropli
i ciebie dogonię
gdybym miała niebo rozrzewnić
i każdą chmurę z osobna
rozdrobnić na deszcz
to pofrunę do słońca
i cię wezmę w pragnienie
gdybym miała wszystkie gwiazdy pogasić
aby ciebie ocalić
to je zdejmę jedną po drugiej
aż zostanie tylko ta która jest
tobą i ją schowam do serca
gdybym miała milion razy umierać
lub raz skonać na wieki
to umrę tysiącem śmierci
byle ty byś żył

odchodził od życia

kiedy nie wiedział nic o dniach
i kolorach jutra
spadał na niego deszcz
i stapał się ze łzami
mieszała mu się wyobraźnia
a on szedł po omacku
w niewiadomą ciemność
nawet gdy niebo spływało
w ramiona i pachniały chryzantemy
on odchodził coraz dalej
od siebie i od życia
ufając Bożym drogowskazom
Aniołowie szli mu naprzeciw
długimi szeregami niepomini na ostrzeżenia
unikali raję
wybrał świadomość własnego istnienia
pomiędzy łzą a kroplą deszczu

nie mówiłeś mi nigdy

nie mówiłeś mi nigdy
na jak długo zostajesz
czy znowu odsuniesz niedopitą kawę
zdania w pół nieskończone
rzucisz w wiatr jesienny
czemu ciągle spoglądasz
na lata z za siebie
i uciekasz od oczu strwożony
czemu strzępki słów
rozwieszasz wśród chmur
jakbym miała z nich składać
zamki z piasku i z łez
nie mówiłeś mi nigdy
że nie starczy ci wiary
by dokończyć choć jedno marzenie
co mam zrobić
gdy znowu dom zastanę bez ciebie
czy wypalić do końca
zblakłe fotografie
i zawiesić na ścianach
wszystkie swoje żale

nie mówiłeś mi nigdy
na jak długo powracasz
i czy znowu mam sprzątać mieszkanie...

pytania

gdy trzeba będzie umierać - jakie
będzie ostatnie słowo
i gdy trzeba będzie odejść - jaki
będzie ostatni dotyk
gdy trzeba będzie zapomnieć - jaki
kolor będzie miało ostatnie spojrzenie
gdy trzeba będzie umierać - jaką
zabrać ze sobą chwilę

a gdyby przyszło żyć - jakie
ciepło dać dniom i jaki spokój nocom
gdyby przyszło pamiętać - co
by było największym bukietem ze wspomnień
a gdy trzeba by znów przemówić - jakie
byłoby pierwsze słowo

gdyby można powrócić - to na dziś czy na wczoraj
i czy można na zawsze

rzeka

po tamtej stronie rzeki
jest może trochę więcej serca
i trochę mniej smutku
ale trzeba tak samo otwierać drzwi
i rozmawiać ze słońcem
aby dojść do wieczora i spotkać się ze snem
 a przechodząc na drugą stronę dnia
 nie można już powrócić w świt
 gdy w pokoju bez okien
 zamknie się wymiar twoich marzeń
 zgub klucz i niech stanie się długi sen
 kotysany oddechem tak bliskim
 jak pieszczota wiatru
 i jak skrzydła anioła
 rozpostarte wśród chmur
i niech taniec porywa
każdy rytm dotyku
słowa niech się staną
całą gamą domysłów
już wiesz że do rzeki nie wróci
żadne twoje marzenie
gdy minie noc zapalisz świece
we wszystkich cieniach
i nie starczy spojrzeń ani pragnień
na spełnienie podróży rąk
z pamięci weźmiesz
dłonie pełne godzin
liczonych odległością i wiarą
porozwieszach po kątach
wiarę i nadzieję i ubierzesz się
we wszystkie kolory pocałunków
staniesz jak jedno wielkie oddanie
i zapomnisz po której stronie rzeki
jest prawdziwy dzień
a po której stronie rzeki
jest prawdziwa noc...

knajpa

powracam do knajpy
w ścianę dymu i wódki
gdzie zapomniane dziewice
liczą swoje zwycięstwa
tu przy wrzasku i krzyku
rozpisuję się w wiersz
barman - gin z tonikiem
niech utopię w nim sny
po co komu poeta
grajmy w życie o wszystko
grajmy w kłamstwa i fałsze
dajcie wódki i pizscie
mój epilog na grobie
umierałem w spelunach
tysiąc razy na co dzień
żyłem tysiąc razy o świtach
teraz spalam poemat
po co komu nadzieja

dystans

czy widzisz jak pomiędzy dnie i noce
zakrada się czas
rozdzierając każdą chwilę na części
odchyła od siebie odległość
jak pomiędzy słowa wdzierają się dystans
milczenia

czy widzisz jak pomiędzy zwierzenia
wsuwa się szary cień lęku
i rozdziela otwarte dłonie
i budzą się ze snu niedowierzania
zamiera szept nadziei
gdy pomiędzy słowa wbija się dystans
zwątpienia

czy widzisz jak urasta odległość
do każdej pieszczoty
a szepty rozrywają się w krzyk
i spojrzenia unikają spojrzeń
gdy pomiędzy każdym następnym oddaniem
budzi się niepewność

czy widzisz jak umiera wyznanie
ograbione z treści i z przyrzeczeń
jak miłość co miała być największą maleje
z każdym chłodnym oddechem
gdy pomiędzy nasze życia wkrada się dystans
milczenia

martwe ogrody

w moich ogrodach nie było kwiatów
z każdym bólem trzebiłem je jak chwasty
nie starczało mi wody słońce omijało mój sad
więc nie kwitły jabłonie w moich nadziejach
nic nie miało sensu lata gasiłem jak świece
skreślałem czas zamykałem drzwi
i zasypiałem w nieświadomość
w moich dłoniach usychały złudzenia
od nadmiaru samotności kurczyło się życie
skulone w kącie od strachu
mówiłem żegnaj na każde powitanie
dawno wyrzuciłem klucz do siebie
rdzewiały marzenia nocom brakowało snów
kruszały nadzieje w martwych ogrodach

odbicie z lustra

czy któregoś dnia zapytasz lustra
czemu daje ci inne odbicie oczekiwań
i powiesz drzewom że szumią za głośno
trawom że łaskoczą za mocno
czy zechcesz wyłączyć nękające trele ptaków
i czy przyjdzie dzień gdy za dużo będzie
rozmów albo za dużo milczenia
i gdy usta zaczną parzyć jak pochodnie
a pocałunek będzie szorstką ścianą

czy któregoś dnia w drzwiach staniesz
pełna ciszy i smutku i rzucisz klucz na stół
by zamknąć niedoczekanie
czy zdążysz jeszcze zostać czy już tylko
będziesz chciała odejść byle nie patrzeć
za siebie czy wtedy powiesz wreszcie
że ta muzyka drażniła cię od dawna

czy któregoś dnia nie napiszesz już listu
bo w trakcie kolejnej podróży w noc
rozbełtany kochanek potrącił kałamarz
i zamazał nasze wszystkie wyznania
a gdy z kartek tych zapłaczę moja dusza -
pogniecioną ją ciśniesz do kosza

czy któregoś dnia zapytasz lustra
kto - wychodząc o świcie - zgasił
twoje sumienie

pierwsze i ostatnie

mówili, że najważniejsze jest
pierwsze spotkanie
zapach konwalii mieszane słowa
splcione palce między łamanymi zdaniem
i to uparte szukanie oczu
od których miała się zacząć pierwsza podróż

mówili że najważniejszy był
pierwszy pocałunek
starta szminka i muśnięcie ust
dotyk róży i początek wszelkiej namiętności
od której miała się zacząć rozkosz

mówili że najważniejsza była
pierwsza miłość i ostatnia
w której oddali pełne upojenie i odnaleźli
wszystkie pieszczoty świata gdy krew
szumiała bardziej niż szampan

mówili że najtrudniejsze będzie
pierwsze pożegnanie w którym pogasną
wszystkie pierwsze rozkosze i nastąpi
najważniejsze czekanie na powrót

mówili że najboleśniej zaboli pierwsza łza
której nie da się nigdy otrzeć ani zcałować
bo w niej zamknie się już ostatnia podróż
w ciemność

spadochron

otwarte niebo
spadochron z ostatniej rozmowy
między wierszami ukryty diament
a ja stoję na krawędzi
gotów do skoku
i pierwszy raz
nie boję się śmierci
gdyż za jeden dotyk twojej dłoni
za perłę twojego uśmiechu
za jeden tylko pocałunek
oddaję wszystkim wieczność

otwarte ramiona
ziemia zanurzona w ciepłe świece
kawa wystygła od czekania
przybłąkły nasze fotografie
gdy za jeden dotyk twojej dłoni
za jeden uśmiech ust
i za jeden pocałunek
oddawałem ci świat
i na pewno pamiętasz
gdy byłem gotów do skoku
już bez spadochronu
wraz z ostatnim krokiem
skończyła się moja wieczność...

przed huraganem

nie doczytasz jeszcze cienia na niebie
ani drżenia liści na drzewach kwiaty
w ogrodach senne niedbale wylegają się
w słońcu grzebienie palm osowiasty
z lenistwa łód rozcieńczył whiskey
na dobre gość z fajką leniwie pyka kłębki
dymu przeciąga się w fotelu czytając
gazetę rozmowy na wszystkie tematy
świata zbiegają się z jednym sygnałem
który z godziny na godzinę nabiera
tempa i tętni w mrowisku sklepów
od Atlantyku idzie czarna chmura piekła
zanim facet z fajką przewróci stronę gazety
huragan Georges uderzy w Portoryko
w kilka godzin później zabije 300 osób
w St. Petersburg nadal pijemy whiskey z lodem
i wylegujemy się w cieniach drzew pomarańczy
czuć jednak jak w powietrzu rośnie napięcie
zaczyna się gra statystyczna nim obliczymy
wynik i dopijemy kolejną szklankę whiskey
huragan uderzy w południowy cypel Florydy
nasze szanse na spokój gasną patrzymy w nadal
spokojne niebo w drzewach nie widać ani
cienia lęku nie ma czasu na zmartwienie jest
czas na nadzieję

latawce

białe latawce szybują w niebo
zbierając garściami pejzaże już wolne
dyszają swobodą jakby otumanione
błękitu niepomne
niepomne kajdan
białe latawce ptaki wolności
ptaki ułudy trzepocą skrzydłami
i tylko odległość ciągle ta sama
przynależność do ziemi
szybowce mysli
wyrwane z dłoni ku słońcu
biegną na samospalenie jak ćmy
gaszone płomieniem świecy ich lot
ma długość smyczy a żywot jest
kaprysem pana
białe latawce ptaki nadziei
przy każdym wzlocie jak Ikar
pragną porywistego wiatru by zerwać
więzy i poszybować w sam płomień
słońca

już

i wreszcie nadszedł dzień
gdy już nie trzeba było czekać
na wschód słońca
i to co w przyszłości zeszło do wczoraj
i co będzie już jest
wiesz jak czuje się ciepło
i jak brzmia słowa
stoisz z walizką pełną odpowiedzi
otwierasz książkę
na przeczytany rozdział
nie ma już wątpliwości
i nie ma złudzeń
jest tylko teraz
od którego wszystko się kończy
i wszystko zaczyna
już nie ma pytań nie ma odpowiedzi
bo jest co jest
co jest do wzięcia
w chwili gdy wszystkie słońca
świecą tak samo a dni mają
tę samą nazwę

dorożkarz

najtrudniej było odnaleźć starego człowieka
który siedział nad Bzurą i ocierał z twarzy
spóźnione łzy co nie dotarły do świadomości
wraz z nadejściem pierwszej burzy
pelargonie z dzieciństwa stoją w oknie
jak wyrzut sumienia i patrzą na mnie całą swoją
przeszłością bez żadnych szczegółów
i bez cienia smutku
tylko tak stoją i patrzą na mnie
który wiedział że należy dbać o serce

stary dorożkarz
przewoził swoje życie z jednego brzegu na drugi
bez cienia wątpliwości
i bez złudzeń że wygra los na loterii
dla niego istniał tylko koń
i ulice z których zabierał ludzkie życia
i przewoził z północy na południe
nie zawsze z czystym sumieniem popijał wódkę
gdy mróz ścinał twarz
i ogrzewał mi wspomnienia
o których jeszcze nic nie wiedziałem

tam się zaczął mój etap
z którego wyszedłem ze znakami zapytań
przemykając się pomiędzy dowcipem a figlem
ksiądz u którego kradłem książki
dawał mi rozgrzeszenie tak samo księgarz
poił moje życie skrawkami iluzji
i czekał aż wykradnę mu najnowsze wydania
tylko nie rozumiałem dlaczego szedł
zawsze za mną cień starego człowieka co popijał wódkę
i marzył w styczniowe wieczory na pustym przystanku
na który już nikt nie przychodził

chmury

chmury w mojej kawie
- śpiewała poetka zagubionego bluesa -
zakwitają jak wiosna co przychodzi
spóźnioną porą
w oparach deszczu
i łąz pomieszanych wraz z zapachem koniaku
którym opóźniasz
nadejście wieczoru nim pierwszy dotyk uderzy
w północne bicie zegara
jesteś nim otworzę drzwi
znikasz nim powiem słowo
cienie poczęły stąpać po schodach
jak mrok co nie nadszedł na czas
więc będę ciągle pytał i powtarzał słowo za słowem
i echo za echem i będę wbijał sobie nóż w serce
po każdej odpowiedzi aż przyjdzie czas zjednania
wszystkich dotyków i wszystkich spojrzeń w oczy
gdy dłoń poczuje tętno twojej dłoni i uśmiech
powita twoją radość i wtulony w twoje piersi
będę szumiał razem z biciem twojego serca
po raz pierwszy i po raz ostatni i po raz tysięczny
aż ustanie oddech chmury w mojej kawie
widzę jak horyzont i jak pejzaż
w którym wszyscy malują jakiś zjętcały świat
bo pokończyli już rozdziały i spisali swoje życia
więc nie ma po co tarzać się w gorących pszenicach
wspinać na szczyty tylko dla spojrzenia niebu w oczy
i zbierać konwalie czy poić się słodyczą tych samych
i tak samo rozwartych ust w nigdy nie kończącym się pocałunku
by odnajdywać coraz głębsze rozkosze
bo chmury w mojej kawie to również wróżba
starej czarodziejki co zdarła z siebie
dziewięćdziesiąt osiem lat i z dnia na dzień
dozowała mi swoje życie jak płatek za płatkim
aż do skończenia życia

okrągły świat

i będziesz chodziła po okrągłym pokoju
by z każdego jego miejsca
móc mi patrzeć w oczy
i nie dać uciec ani jednej chwili
nim nie dogonisz jej pieśczętą
i położysz mi głowę na piersi pełna spokoju i uśmiechu
jakbyś chciała mnie w szczęście zamienić
cicho szepcze gitara wieczorne etiudy
w okrągłym pokoju tańczy twoja nagość
z której czerpię smak pocałunków
na stole rozplynęły się bukiety kwiatów
cudowny ma posmak twoja dłoń którą głaszczesz
mi włosy przy kominku
delikatność jaśminów
i słodycz róż położyłaś między naszymi wargami
w niedomkniętym pocałunku
i będziesz chodziła po okrągłym świecie
by móc mnie dostrzec w każdym jego zaułku
i dobiec dotknąć ugościć w sobie przed świtem
i w dzień i przed zmierzchem i zawsze moja
przed każdą porą roku przed nadchodzącą sekundą
i minutą będziesz zawsze pierwsza i zawsze ostatnia

przyrzeczenia

poza nawiasem pieśczoł
jest jeszcze życie rozwarte jak brama
w którym nie da się pozostać na uboczu
i gdzie trzeba się określać z godziny na godzinę
wybierać co ważne omijać nieistotne
i życie które trzeba porządkować jak pokój
do którego mam przyjechać

poza wszystkimi słowami jest ważność faktów
i dokonań od których się nie można odwrócić
nie można zdjąć okularów by nie widzieć szczegółów
tu trzeba odpowiedzieć na wszystkie pytania
bo poza nami i przed nami jest życie
które trzeba dopełnić poza fragmentem pózdań
i niedomówień oraz domysłów
jest treść którą trzeba dopisać do końca
gdy się nie da przerwać oddechu
trzeba ręką sięgnąć poza widnokrąg
ponad zamglone i niewyraźne pejzaże
aby doczytać do końca wszystkie
przyrzeczenia

najwierniejszy

będę twoim najwierniejszym wiatrem
ale najpierw rozbij wczorajsze barykady
zazielen popalone łąki
i ubiel majowe spotkania kawalkadą bżów
najpierw stań w oknie z rozwianymi włosami
i chwyć w płuca mój pierwszy oddech
zanim nadejdzie świt
i ocuci ci wszystkie marzenia

będę twoim najwierniejszym słońcem
lecz najpierw zatrzymaj czas
rozpisz swoje życie na strofy czekania
na niecierpliwość i na wiarę stań mi
twarzą w twarz i powiedz że teraz to
jutro a jutro to wieczność i oddaj jeden
oddech poświęcenia

będę twoją najwierniejszą miłością
zakończoną między dnia początkiem
a rozpoczętą w noc świętych zgonów
jeżeli niebo podniesiesz mi do oczu
i pójdziesz nad krawędź ziemi
aby więcej nie wracać do początków świata
w jutro z wiatrem i ze słońcem
w nieskończoność

pani mówi

pani mówi - o świcie nadchodzi miłość
niebo z kwiatów się budzi i że z każdej
pieszczoty wybierze najpiękniejszy
zapach rumianku

pani mówi że miłość ma na imię „kochany”
- tak pani mi szepcze czemu jednak
wśród tylu rozkoszy pani nie chce
podzielić się ze mną nawet
jednym marnym spojrzeniem

pani mówi że gdy do snu się kładzie
to zabiera mnie z sobą do siebie
czemu więc - pytam złęczony - rano
budzi cię inny kochanek

czemu innym tak chętnie oddajesz
każdy smak swych pocałunków
czemu w ramion twoich objęciach
na noc kto inny zostaje do świtu.

myśliwi

zabawa zaczęła się z pierwszym dniem lata
gdy zbierali się wieczorami przy bladych świecach
i czerwonym od upału winie
pierwsza pani kładzie głowę na skali uśmiechu
i drwi rozpisując nowy scenariusz
w to lato osiđłamy sobie orła
wyrzeźbimy w nim serce rozniecimy płomień
poczekamy aż spali go własne oblicze
i kto pierwszy mu zedrze nadzieję
ten zwycięzcą sezonu ten nam bohater
polowali po górach i lasach
trzysta lat i zim upłynęło
aż dopadli zranionego ptaka
szybko skrzydła mu ścięli owiązali pazury
oczy kirem zakryli rozpalili ognisko
i ruszyli do tańca i śmiechu
każdy poryw ofiary wzniecał w nich podniecenie
dorzucali drewno w ogień
podjudzali jątrzyli
biały orzeł schwytany - teraz będzie zabawa
orzeł wbił w ziemię szpony
zniecierpliwiał i zamarł
lecz - co to - nagle pisk jakiś
przerwał państwu zabawę
orzeł targnął się odżył
zerwał z siebie lin pęta i ostatnim wysiłkiem
uderzając o skałę skrzydłem już odłamanym
rzucił ciało swe w przepaść
i utonął wśród mroku
pani nieco zdziwiona
rzecze żartem do tłumu
zaczynamy od nowa
lecz nie orła tym razem
teraz chcemy sokoła

ołtarz

kto im powiedział że ziemia dla nich
spowita kwiatami
gdy trzeba przepłynąć ocean
ale szli naprzeciw siebie
jak resztki Don Quijota
z przegranej bitwy
dlaczego - pytali -
im bliżej do spełnienia
tym więcej ich dzieli sprzeczności -
nie można się cofać
sprzed wielkiego ołtarza
gdy padły już wszystkie przyrzeczenia
chyba że ktoś z tłumu krzyknie swój sprzeciw -
ale pisali w sobie ten żar
jakby chcieli spalić resztki ziemi
nikt nie rozumiał że czas stoi po ich stronie
gdy wybija godzina niepewności
patrzyli w podziw nieba
i zagłuszali wszystkie wątpliwości
by dożyć do końca życie na ołtarzu

za wcześnie

za dużo mówiła o wiosnie gdy jeszcze ziemia
spowita białym śniegiem
lśniła od mrozu i skulone drzewa nie mogły
zrozumieć czemu tak nagle wstaje dzień
spłoszone zające rozbiegały się we wszystkie
kierunki niepokoju skąd nadchodziły ciepłe
spojrzenia

za dużo mówiła o miłości gdy jeszcze
usta nieotarte po ostatnim kochanku
co tylko przelotnie zatrzymał chwilę
w zapomnieniu nie wiedziała że życie może
zacząć się za następnym zakrętem gdzie
nie sięgają jeszcze żadne wyznania

za wcześnie mówiła o wieczności
gdy czas zatrzymał się w połowie drogi
między wszystkimi niedoczekaniami
a tym długim łańcuchem milczenia
i nie było ani chwili na oddech
a ona chciała odpłynąć z nadejściem nocy

za mało było między nimi życia które
wybrane z pejzażów mogłoby tętnić
w codziennych witrażach i tworzyć taniec
splecionych różańców i modlitw więc -
zabrakło wiosny i ognia i życia i śpiewu -
gdy rozchodziły się dłonie
nim miał nastać dzień

nieodtańczony walc

w hotelu Grand
na sali balowej
mieli tańczyć pierwszego walca
już prawie brał ją w ramiona
i ruszał na parkiet
gdzie oprócz świateł
stał nieruchomo
tłum zapłakanych błaznów
i gdy doszli na środek
on poważny i dumny
ona zwiewna w welonie z nadziei
i czekali na pierwszy takt
który nie nadszedł
bo orkiestra umarła ze wszystkimi nutami
i w hotelu Grand
tej nocy nikt
nie zatańczył walca

lustro

któregoś dnia
staniesz przed lustrem
i zrzucisz z siebie wszystkie złudzenia
obnażysz siebie od środka
w którym nic nie zostanie
bo któregoś dnia nie będzie
już ani dróg ani drogowskazów
i każdy dotyk nie będzie dotykiem
a pocałunek zostanie tylko uludą
aż któregoś dnia zawrócisz słońce
z wędrówki po szczęście
i zgasisz wszystkie księżycy
aby nie było nocy
i odejdziesz w długie
zamyślenie

szklanka whiskey

rozpostarte skrzydła orła zamykają w swym locie
śmierć poety zgaszonego za dnia
któremu szklanka whiskey wypadła z rąk
na myśl o rozdrobnieniu zwątpień i złudzeń
dlaczego tylko szeptem mówiły jej słowa
i czy to ucieczka w rzeczywistość
czy z niej stary człowiek na krawędzi czasu
gasił zabawę z kłamstwa
i zdmuchnięcie świecy
kiedy zapłacie błazen - umrze świat
i rozbije się zwierciadło
na siedem lat nieszczęść
biała sukienka z nieodbytego ślubu
zawisła w dłoniach artysty któremu strzelono w krtań
plama żalu jak krew na dywanie - stygnie
w kominku zgasł ogień ale jeszcze krztusi się dymem
w dali słychać stukot karawanu
za którym wlecze się korowód bólu
domek w górach do którego nigdy nie dotarli
speszeni śnieżną zamiecią spalił się nim uderzono
na alarm w zgliszczach odgrzebują okłamane wyznania
zamknięto już okna zaryglowano oczy
i gdy pił ostatnią szklanekę whiskey
w skneblowane słowa wpijał mu się kolczasty drut
którym zdradziła go miłość
mroźna listopadowa niedziela
owiana cmentarzami żywych i umarłych
pachnie jak chryzantema w poematach
dawno pochowanych poetów
tylko jemu przy ostamim hańście whiskey
wyjęto serce by rozpękło się na milion serc
na stole stoi pusta szklanka po whiskey
w której utopił się jego ostatni wiersz

pochodnia

setki razy
wpisywał jej twarz
w pamięć
uczył się dotyku
wielbił czas stworzenia
i upijał się
jedynym spojrzeniem
z fotografii

przez życie mu szła
jak pochodnia
ogniem
i milczeniem
z ciemności
pozostawiona przez Boga
naprzeciw nadziei
zdawało się, że niesie złudzenie

oczy oczom przywiodły spotkanie
dłonie dłoniom ogrzały twarz
nim kur pierwszy zapiał
wszystko zmieniło wymiar
setki razy zapominał jej włosy
gdy kładła głowę na piersi
gasił po kolei każdy płomyk
pochodni
i poeta wygasał powoli

ostatni kochanek

trzeźwieję chyba z tych płatków
utkwionych w czterech porach roku
spozrzegasz jak bieli się niebo
i przecierasz oczy w zamyśleniu
ogromny ocean już za mną
odpływa mi czas zamknięty w słowa
niejeden obaliłem drogowskaz
w poszukiwaniu drogi do ciebie

a gdy stanęła przede mną przepaść
zwinąłem się w ból
uderzając sztyletem w niepełne serce
czas na ostatnie zwierzenie
zmieniałem w nieustanny deszcz

szaleję w niedotkniętych ramionach
rozwijam tysiące ogrodów
skrzydłami dotykam skrzydeł
wierszem opowiadam wiersze

oddaję noc za nocą
i wszystkie rozkosze świata
kochankom ze snów
tych wypieszczonych twoimi piersiami
czy jest jeszcze miejsce na dotyk
na poszept ust czy jestem - jak mówisz -
tym ostatnim pragnieniem
co zmienił śmierć w ołtarz
na którym spalać się będzie miłość
czy będę naprawdę ostatnim kochankiem
dla twych pocałunków

wieczność

niepotrzebny nam żaden klucz wszystkie
bramy rozwarte na ościerz można
wchodzić w zaciemnione pokoje nic
nie chroni nam złudzeń teraz już można
zdzierać zasłony

obnażymy do dna wszystko już z siebie
każdy szept i powiew wyznania niech ta
prawda kołysze drzewami niech
wiotczają nam ręce od pragnień
każdy dzień otwieramy na nowo

z tylu lat zebranych pokątnie
spisujemy nasze nowe historie
dnie z nocami mieszamy bezwiednie
zawieszając na niebie nadzieje
białe chmury utkane z marzeń

rozpływają się w słowach uśmiechy
czar miłości zerwany z gałęzi
ja ci mężem zostanę - jak mówisz -
na papierze czy bez ale będę
zmieniał teraz na jutro
a jutro na wieczność

między nocą

między moją nocą
a twoim świtem
płynie rzeka tysiąca słów

między moim oddechem
a twym pocałunkiem
jest sad pomarańczy

gdy mówisz: kocham
ja mówię: czekam

mijamy się zawsze na skrzyżowaniu
a między moim życiem
a twoim
jest klamka
która zamyka strach

przyłot

jutro przyleci do mnie radość
gdy zapowiedzą jego samolot
przez tłum się przedrę wyrwę gawiedzi
i rzucę mu na usta pocałunek
ukradnę go dla siebie od nowa
jutro przyleci do mnie nadzieja
ubrana w kolorowe sumienie
zebrane z listów i wyznań
przyjedzie w mój pusty pokój
miłość

dziś więc zbieram kwiaty na łące
ustroić muszę każdy kącik w domu
ręce omdlałe za siebie chowam
czy tylko wszystko mu się spodoba
jestem skulona w wiązkę niepokoju
tyle mam w sobie obawy i lęku
żeby go gestem nie spłoszyć jakimś
i nie zgasić nim się iskra rozpali

bo jutro przyleci do mnie miłość
gdy z nieba zsiądzie stalowy ptak
więc ramionami jak matkę powitam
i zaczniemy tańczyć i śpiewać
to obiecane nam w niebie szczęście
jak darowaną na ziemi miłość
bo jutro przyleci do mnie życie

garnitur

jak długo mogę oczekiwać
dnia
przy zgaszonych świecach -
czy mogę oddychać bez
dostępu
do powietrza
i płynąć bez wody
sunąć pod niebem
z odartymi skrzydłami

czy mogę domrzeć
resztę życia tylko po to
by żyć nijak

czy muszę wiecznie
zakładać uśmiech
jak nowy garnitur
który uwiera

pół życia

dlaczego nigdy nie potrafiłeś powiedzieć
wszystkiego do końca
za każdym razem gdy odmawiałeś pacierz
brakowało ci kilku modlitw
kiedy chadzałeś do szkół uczyłeś się
tylko połowy lekcji
kiedy kochałeś - brakowało ci serca lub wyznania
nie umiałeś nawet dobrze zasnuwać butów

dlaczego nigdy nie potrafiłeś
dokończyć żadnej sonaty
i za każdym razem gdy mówiłeś prawdę
to tylko do połowy

dlaczego nie potrafiłeś otworzyć w pełni drzwi
przemykając się jedynie
przez dziurkę od klucza
i dziś gdy mówisz że żyjesz
to żyjesz tylko do połowy

gołębie

starszy pan z pogniecioną przeszłością
karmił w parku gołębie gdy prawie w południe
stanąłem z lustra za dwadzieścia lat
i z niepokojem wybierając drogę w ciemność
podświadomie odkrywam że usiądę karmić
gołębie w zniszczonej marynarce za dwadzieścia lat
i nikomu nie powiem dlaczego znów ruszyłem w drogę
gdy odjechały już wszystkie pociągi

po między jednym życiem a długą nocą
było jeszcze dużo miejsca na opowieści
ale starszy pan pokręcił z niedowierzaniem głową
i wrócił karmić gołębie ignorując zupełnie moje
pytania o powrót do starości więc zrezygnowany
znów ruszyłem w drogę ze stacji z której od lat
już nie odchodzą pociągi i tylko można powracać
w przeszłość lub karmić gołębie

samotność

spójrz jeszcze raz za siebie
po raz ostatni
odwróć wszystkie przeciwności wody
powstrzymaj drżenie rąk
zahamuj serce

spójrz na dni minione
jak odbicie twarzy w lustrze
gdzie każda zmarszczka
i każdy uśmiech
wypisały jakieś znaczenia
zmęczony dziś już jesteś
i zawiedziony pustką
przed tobą głębia
tysiąca niewiadomych
po które skoczysz
w samotność

podróż

nazwiemy to wszystko
ciepłym wierszem
co w ustach nam urasta
w delikatność orchidei

nazwiemy to szaleństwem
gdy dłoni nie można złożyć w dotyk
gdy warg nie można nimi musnąć
żadnym pocałunkiem

nazwiemy to nadzieją
gdy poprzez lata doczekania
stopimy życie w dziką miłość
i gdy z niczego co nie było
stanie się wiara
w to co będzie
domkniemy wszystkie okiennice
w kominku ogień rozpalimy
koniak rozpułynie się w uśmiechu
gdy my wpatrzeni w półmrok oczu
nazwiemy wieczór ten podróżą

pożegnanie

przed napisaniem nowego rozdziału
musiał dobierać kolory do słów
kaleczył dni i godziny
rozdierał w sobie każdy ból
jednoczył się - rozłączał
przegrywał
i zwyciężał
nie wiedział - kto stanie z nim w szeregu

na pytań rzucanych mu dziesiątki
nie musiał szukać odpowiedzi
wybierał znów wyprawę w jutro
w niepewny dzień
niepewną noc
przed napisaniem swojego życia
musiał dokończyć tom ostatni
zebrał rozdziały
strofy
pieśni i rzucił w ogień -
na pożarcie
znad paleniska
tylko dym się snuł
nad ziemią
małą strużką palił się dzień
gaśły rzeki
a on zanikał w ciemną ciemność

nie Kocham już przeszłości

nie Kocham już przeszłości
i nie mam już dwudziestu lat
kwiaty pogasły w suchych wazonach
i tamto serce przestało bić
rachunek win robię wieczorem spisuję grzechów
moich litanie i milczę zaklinając każdy sen
niszczony sercem aż do bólu

nie Kocham już straconych dni
i godzin tamtych nie spisuję
księżycy wszystkie mi pobladły
niebo zakryło się znów kirem
słowik wydał ostatni jęk
i padł w sierpniowy nocny zmrok

nie Kocham - mówię raz po raz
i wiem, że muszę ci to wyznać dziś
nim jeszcze we mnie drga muzyka
nim drzwi się za mną znów zatrasną
i zgaśnie cały sens istnienia
powtarzam nie... nie Kocham.

druga kobieta

nie trzeba było ranić
tej drugiej kobiety
stojącej przed domem
z naręczem uśmiechów

ale gdy trzeba zapytać
o wybór z tysiąca słów
czy lepiej będzie
chować serce wśród cierni
czy unikać kłamstw

nie trzeba było czekać
na zaleczenie ran
bolesna musi spłynąć łza
by zamknąć rozdział dnia
tej drugiej kobiety

ciemność

zahuczał ocean
zawyły fale
deszcz mocniejszy od łez
dobijał się do drzwi
serce waliło jakby chciało załkać
i wszystko tańczyło
taniec szaleńców

przez sztorm
podrzucony jak mydlana bańka
przeciskał się
stateczek nadziei
żagle porwane kapitan złany wodą
starał się przedrzeć
przez kolejną burzę
zapadała noc
zamykała się ciemność

nie było odwrotu

ostatnia rozmowa

i będzie kiedyś nasza ostatnia rozmowa
gdy słowa będą zamierały w krtani
ręka wyciągnięta po dotyk zawiśnie
w powietrzu
oczy będą bały się oczu

i będzie kiedyś ta ostatnia rozmowa
gdy trzeba będzie zamknąć za sobą
niebo

usiądziemy wówczas naprzeciw naszych kłamstw
robiąc rachunek sumienia
przyjdzie czas
na ostatnie rozgrzeszenie

weźmiemy w dłonie resztki słów
żegnając nikłe nadzieje

i kiedy nadejdzie chwila
na ostatni uśmiech
na ostatni wiersz
słowa będą miały ostatni wymiar
i drzwi się zamkną
po raz ostatni

po której stronie bedziesz ty
po której stronie będę ja

listopad

powitania -

na deszczu kładły się liście
jesionów kasztanów nadziei
szkliste spojrzenia
tętniące jak wieloletnia tęsknota
trwały niespokojne drżące wzruszone -
aż stanął przed tobą taki dzień
pierwszego dotyku i oddechu
zamknięty pomiędzy ustami

pożegnania -

jeszcze biała chusteczka na wietrze
zmieszana ze łzami
milczymy zamknięci pomiędzy ramionami
pomiędzy czekaniem i rozstaniem
wszystkie nadzieje chcąc zamknąć
w ostatnim szepcie rąk i obietnic...

oczekiwania -

kalendarze pełne jesieni i wiosen
okna otwarte na szept spoglądasz za siebie -
sylwetka znana z pamięci i z deszczu
zapisana jak wiersz na sercu

z roku na rok czy z miesiąca na miesiąc
przyjdzie nam czekać na powrót
i pytasz: czy będę wracał tą samą drogą
gdy ruszę w podróż kolejnych marzeń
lub czy zostanę zmoczony pod oknem
jesiennym deszczem listopada

spustoszenie

znów zaczęły szumieć
myśli me nieskromne
wzbijać się poczęły
mocniej i goręcej
jakby słońce chciały
stłumić swoim cieniem -
ręce najwierniejsze
rozproszone w mroku
szukujące ciepła
prześcigają życie -
już wkraczają w noc

 wiem, że jesteś obok
 gdy płoną spojrzenia
 widzę jak się tulisz
 mocniej w me ramiona
 więc zamieńmy w niebo
 czas urwany życiu
 i zatońmy w siebie
 aż do wniebowzięcia

już za oknem świta
dnieje prawie miłość
zbierasz w ręce pacierz
i chowasz w powiekach

 mnie przy tobie pełno
 a jakby nie było
 lekką drżysz w pościeli
 wiotką i omdlałą
 zapytujesz z cicha
 kto tu był tej nocy
 kto spustoszył słowa
 - milczy skromnie miłość

znów zaczęły szumieć
ręce me nieskromne
najwierniejsze w nocy
nacieplejsze w tobie

Spis wierszy

- | | |
|------------------------------------|---------------------------------------|
| <i>pożądanie, 5</i> | <i>nieodtańczony walc, 46</i> |
| <i>jestem, 6</i> | <i>lustro, 47</i> |
| <i>niebo, 7</i> | <i>szklanka whisky, 48</i> |
| <i>jeden dzień, 8</i> | <i>pochodnia, 49</i> |
| <i>niedoczekanie, 9</i> | <i>ostatni kochanek, 50</i> |
| <i>pomarańcza, 10</i> | <i>wieczność, 51</i> |
| <i>bez ciebie, 11</i> | <i>między nocą, 52</i> |
| <i>martwa poezja, 12</i> | <i>przyłot, 53</i> |
| <i>jeszcze raz, 13</i> | <i>garnitur, 54</i> |
| <i>Gulf of Mexico, 14</i> | <i>pół życia, 55</i> |
| <i>puszka wszystkich słów, 15</i> | <i>gołębie, 56</i> |
| <i>drugie skrzydło anioła, 16</i> | <i>samotność, 57</i> |
| <i>odpowiedź, 17</i> | <i>podróż, 58</i> |
| <i>modlitwa poranna, 18</i> | <i>pożegnanie, 59</i> |
| <i>drugie życie, 19</i> | <i>nie kocham już przeszłości, 60</i> |
| <i>kanon d-moll Pachelbela, 20</i> | <i>druga kobieta, 61</i> |
| <i>do nieba, 21</i> | <i>ciemność, 62</i> |
| <i>milion, 22</i> | <i>ostatnia rozmowa, 63</i> |
| <i>oddanie, 23</i> | <i>listopad, 64</i> |
| <i>odchodził od życia, 24</i> | <i>spustoszenie, 65</i> |
| <i>nie mówię mi nigdy, 25</i> | |
| <i>pytania, 26</i> | |
| <i>rzeka, 27</i> | |
| <i>knajpa, 28</i> | |
| <i>dystans, 29</i> | |
| <i>martwe ogrody, 30</i> | |
| <i>odbicie z lustra, 31</i> | |
| <i>pierwsze i ostatnie, 34</i> | |
| <i>spadochron, 33</i> | |
| <i>przed huraganem, 34</i> | |
| <i>latawce, 35</i> | |
| <i>już, 36</i> | |
| <i>dorożkarz, 37</i> | |
| <i>chmury, 39</i> | |
| <i>okrągły świat, 39</i> | |
| <i>przyrzeczenia, 40</i> | |
| <i>najwierniejszy, 41</i> | |
| <i>pani mówi, 42</i> | |
| <i>myśliwi, 43</i> | |
| <i>ołtarz, 44</i> | |
| <i>za wcześniej, 45</i> | |



Leszek Zieliński - poeta, dziennikarz, wydawca.

„gdybym nigdy się nie zbudził ze snu
w który się wtapiam
i gdybym klucz do siebie wyrzucił
odchodząc w wieczną ciemność
to byłbym równie szczęśliwy
jak ptak któremu otwarto niebo”

ISBN: 1-57745-103-1

